

Karolina Żelechowska: Sarkozy na wojnie

Wojna w Libii jest już powszechnie nazywana „wojną Sarkozy’ego”



Wojna w Libii jest już powszechnie nazywana „wojną Sarkozy’ego”

Kiedy pod koniec lutego tego roku w Libii zawrzało od zamieszek, a rewolucyjne nastroje zmieniły się z czasem w wojnę domową, nikt nie spodziewał się, że spory Libijczyków przeniosą się, na szczęście w znacznie łagodniejszym wymiarze, na arenę międzynarodową. Otóż z czasem kwestia konfliktu w północnej Afryce stała się sprawą wyższej wagi omawianą na obradach międzynarodowych. Mocarstwa zachodnie starały się rozważnie i ostrożnie podejmować jakiegokolwiek kroki, unikając tych radykalnych. Jedynym jednak, który nie wydawał się przeżywać walki wewnętrznej, a postawił na walkę zbrojną, był prezydent Francji – Nicolas Sarkozy, jednocześnie prowokując świat do zadania pytania nie „czy słusznie?” lecz „dlaczego?”.

Sytuacja stała się o tyle trudna, że aby podjąć decyzję o zaangażowaniu w konflikt międzynarodowych sił zbrojnych, trzeba było wielu spotkań i wielogodzinnych rozważań. Na jednym z nich wystąpili przedstawiciele

22 państw, a także przedstawiciele Unii Europejskiej, ONZ, NATO, Ligi Arabskiej i Rady Współpracy Zatoki Perskiej. Jedyną osobą bezapelacyjnie dążącą do zbrojnej walki w Libii był właśnie Sarkozy, który od początku głośno i wyraźnie popierał wszelkie propozycje ataku zbrojnego NATO. Można więc stawić pytanie: dlaczego? W obliczu tych wszystkich tragicznych wydarzeń, podczas których zginęło wielu niewinnych ludzi, nie chodziło zapewne jedynie o przywrócenie moralności i porządku w Afryce, lecz również o zachowanie twarzy w niemej grze politycznej.

Wojna w Libii jest już powszechnie nazywana „wojną Sarkozy’ego”. Nawet Stany Zjednoczone z Barakiem Obamą na czele starały się nie dopuścić do konfrontacji zbrojnej. Niestety nie udało się. Jednak przywódca Francji od początku nie był ani obojętny, ani nawet chłodno zdystansowany do całej sytuacji. „Sarkozy jest właśnie taki, jak mówią o nim ludzie – nieprzewidywalny, impulsywny. Jednocześnie jednak jest wręcz przeciwnie” – jak mówi w wywiadzie dla Newsweeka dramaturg Yasmina Reza, autorka książki będącej zarysem intymnym Nicolasa Sarkozy’ego. Jeden z jego przyjaciół natomiast użył stwierdzenia: „jakby miał znów czternaście lat”, komentując jego zmiany nastrojów, od spokoju po ekscytację. Tak właśnie było: podczas szczytu w Paryżu przywódca Francji najgłośniej forsował sprawę ataku zbrojnego na wojska Kaddafiego, przekrzyczał niemiecką opozycję i w końcu, wraz z USA, Wielką Brytanią, Kanadą i Włochami, sam wsparł inicjatywę. Złośliwi twierdzą, że to całe „przedstawienie” jest jedynie deską ratunkową Sarkozy’ego, mającą uratować go przed fiaskiem reelekcji. Na razie nikt nawet nie wie, czy będzie miał szansę wystartować – jednak walka o przychylność sceptycznych wobec prezydenta Francuzów nadal trwa.

Innym powodem francuskiego zaistnienia na arenie międzynarodowej może być chęć powrotu do tytułu mocarstwa, co również, odnotowane przez francuskie społeczeństwo, działałoby na korzyść prezydenta. Francja już dawno nie miała aż tak szerokiego pola do popisu, aby móc zaistnieć. Teraz, gdy nadarzyła się okazja, Sarkozy może w końcu zostać zauważony, satysfakcjonując tym samym elektorat i odzyskując znaczenie wśród innych potęg. Zwłaszcza, że Francja ma już na swoim koncie wiele jednostronnych interwencji w Afryce, jak choćby w latach '80, właśnie przeciwko Kadafiemu - z tą jedynie różnicą, że teraz ma sojuszników.

Sarkozy również wcześniej próbował swoich sił w resocjalizacji dyktatora i przywróceniu go do łask europejskich, tuż po objęciu stanowiska prezydenta w 2007 roku. Starania jednak poszły na marne, nie pomogło nawet goszczenie Kadafiego we Fracji - żadne korzystne dla Sarkozy'ego kontrakty nie zostały zawarte. Może i tym razem w związku z wojną libijską Francja nie dużo nie ugra, lecz sam Nicolas Sarkozy ma na pewno wiele do zyskania.

Karolina Żelechowska